

Droga – 1

25 października 2012

Na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat mogliśmy obserwować trend ku jednoczeniu się narodów w jednostki ponadnarodowe. Sztandarowym projektem jest tutaj Unia Europejska, twór który w perspektywie wieloletniej ma na celu przekształcenie państw członkowskich w jeden federacyjny organizm państwowy. W świecie muzułmańsko-arabskim obserwujemy coraz silniejsze tendencje w kierunku utworzenia tzw. światowego kalifatu.

W Europie jednakże, entuzjazm dla proponowanego zjednoczenia upadł. Zróżnicowanie etniczne, narodowe, ekonomiczne i polityczne – wzdłuż i wszerz Europy – okazało się zbyt wielkie, aby uczynić europejskie państwa zjednoczonymi. Jakkolwiek politycy proeuropejscy wciąż próbują forsować swoje marzenie o Stanach Zjednoczonych Europy. Ale ten sen nie jest już dłużej możliwy.

Wpływ Brukseli na krajowe ustawodawstwa obudził w europejskich narodach naturalny odruch obronny. Społeczności, w niebezpieczny dla siebie i innych sposób, stawiają głównie na realizowanie własnych celów, kosztem celów wspólnotowych. Państwa członkowskie co raz to swym postępowaniem zaprzeczają idei budowanej przez siebie Wspólnoty. Kolejne filary Unii się sypią. Unia monetarna, która miała stanowić jedno z głównych spoiw europejskich okazała się niemożliwą do realizacji w tak zróżnicowanej ekonomicznie mozaice państw narodowych. Unia celna, jeden z najciekawszych paneuropejskich projektów, coraz częściej jest kwestionowana – wraz z narodowym odruchem obronnym obudziły się tak niepożądane postawy jak ksenofobia i rasizm. Zacieśniająca się Wspólnota zamiast wytworzyć atmosferę jedności, zaczęła tworzyć podziały. Partykularny interes narodowy coraz częściej stoi na drodze do kompromisu.

Komitet Noblowski przyznał Unii Europejskiej Pokojową Nagrodę

– za zasługi na polu szerzenia pokoju i stabilności w co i rusz, przez ostatnie stulecia, targanej wojnami Europy. Tylko czy Unia nadal pozostaje gwarantem stabilności? Czy Unia jest w stanie dać obywatelom pewność jutra? Wielu taką pewność utraciło. Przybrały na sile ruchy separatystyczne w Hiszpanii – Katalonia i Baskonia zamiast czuć wspólnotę z Madrytem i resztą Europy, chcą się odizolować. I nie jest to jedynie protest przeciwko złej polityce Hiszpanii. To przede wszystkim próba odejścia od niespójnego i niestabilnego ładu, jaki proponuje Bruksela, która szczególnie w czasach obecnego kryzysu kreuje jak ma wyglądać polityka rządu w Madrycie. Ten ład nie podoba się też w Londynie. Wielka Brytania na forum europejskim coraz bardziej się izoluje. Premier David Cameron rozważa rozpisanie referendum nad wystąpieniem z Unii. Węgry toczą z Brukselą spór o swoją suwerenność (co prawda kierunek węgierski nie jest najlepszym wzorem do naśladowania, ale nie budzi wątpliwości, iż Budapeszt ma całkowite prawo do suwerennych decyzji co do kształtu swojej państwowości). Polska co chwila przesuwając termin wstąpienia do Strefy Euro, bardziej zaklinając rzeczywistość niż planując realny udział w unii monetarnej.

Projekt federacyjny został poważnie obnażony. Jego słabości są już doskonale widoczne. Najgorsze jednak, że przynosi efekty odwrotne od pożądaných. Dlatego też projekt o nazwie Unia Europejska musi zostać przeddefiniowany. Postępująca wbrew woli większości federalizacja musi zostać zatrzymana. W przeciwnym razie doprowadzi to do niepotrzebnych podziałów i odruchów, co w najgorszym przypadku może przynieść ponowny konflikt w samym sercu Europy. Pokój i stabilność, tak ciężko wypracowane, mogą odejść znów w zapomnienie. Aby tego uniknąć, należy zbudować Wspólnotę opartą na nowych zasadach. Wspólnotę, która będzie szanowała istnienie narodów i ich suwerenność.

To, czego potrzebuje Europa to nie namnożone, niedemokratyczne instytucje tworzące nowe bariery, które ingerują w interesy poszczególnych, suwerennych państw. Europa potrzebuje

mechanizmów, które pozwolą wszystkim państwom korzystać w ramach współpracy międzynarodowej. Unia celna i unia handlowa – te dwa filary to najważniejsze dla pokojowej i stabilnej współpracy w Europie podłoża. Wspólnotę można oprzeć właśnie na nich. Ale nie Wspólnotę, jako instytucję, lecz jako współpracę międzynarodową.

Należy zadać sobie pytanie o sens istnienia Unii takiej jak dziś. Mnóstwo instytucji i stanowisk jest obsadzonych ludźmi wybranymi w sposób niedemokratyczny. Czy społeczeństwo europejskie dało mandat pp. Barroso i Van Rompuyowi dla pełnionych funkcji? Czy ludzie ci rzeczywiście rządzą Unią w interesie Wspólnoty? Nie dość, że nie posiadają mandatu, to jeszcze firmują podział. Tak jakby przywództwo we Wspólnocie było w sposób oczywisty zarezerwowane dla Niemiec czy Francji. To właśnie te dwa państwa próbują narzucić swój dyktat w europejskiej polityce. Tylko czy o to we Wspólnocie chodzi? Czy to ma tak wyglądać, że dwadzieścia siedem państw europejskich ma utworzyć federację, w której naczelną rolę wiodą dwa stany/landy/prowincje? Jak miałyby wyglądać taki twór w zamyśle szczegółowym? Gdzie miałyby przebiegać linia autonomii poszczególnych krajów związkowych? I czy, tak jak dotąd robi to Bruksela, wiele aspektów miałyby być zarządzanych na poziomie centralnym?

Patrząc na wydarzenia ostatnich kilku lat nie ma ani społecznego przyzwolenia na takie warianty, ani nie ma w tym żadnej logiki. Nowe państwa Unii, takie jak Polska, trzymają się tej instytucji głównie z powodu dotacji. Gdyby Bruksela hojnie nie obdarowywała co niektórych państw, to mogłoby nie być w ogóle chętnych do przystąpienia do Wspólnoty. A to właśnie państwa takie jak Polska, Czechy, Słowacja, Węgry, Rumunia czy Bułgaria, mają najwięcej do stracenia. W zamian za paręset miliardów euro zostają zmuszone do oddawania kolejnych to kompetencji przynależących do każdego suwerennego państwa.

A wszystko można by zrobić inaczej. Najlepiej wracając do korzeni. Czynnikiem, który po drugiej wojnie światowej

zagwarantował pokój i stabilność w Europie było nawiązanie ścisłej współpracy gospodarczej pomiędzy najważniejszymi graczami zachodnioeuropejskimi. Wspólny interes, jakim była gospodarka, skutecznie powstrzymywał od chęci konfrontacji Niemcy czy Francję. I można było to skutecznie kontynuować. Oczywiście przy zachowaniu odpowiedniego realizmu. Obecnie należałoby do takiego właśnie stanu wrócić. Poprzez likwidację Unii Europejskiej, wraz z jej wszystkimi niepotrzebnymi instytucjami, wrócić do poziomu unii handlowej zagwarantowanej umową międzynarodową pomiędzy zainteresowanymi państwami. Wraz z unią celną, gwarantującą swobodny przepływ ludzi i kapitału wewnątrz Europy, dały by pożądany efekt jaką jest ścisła współpraca gospodarcza Wspólnoty, na rzecz każdego państwa-strony. I niepotrzebne by były żadne dodatkowe instytucje, które sprawowałyby pieczę nad umową. Żadnych parlamentów i komisji. Biorąc pod uwagę, iż istnieje Światowa Organizacja Handlu, to właśnie jej należałoby powierzyć rozstrzyganie w sprawach, gdy któreś państwo-strona nie dotrzyma warunków zawartych w umowie ustanawiającej unię handlową lub unię celną. W takim układzie i przy odpowiednich zapisach, nikt nikomu nie może narzucać swojej woli. Nie ma brukselskiego ustawodawstwa, które ingeruje w stanowienie praw suwerennych państw. Z jednej strony każdy naród, bez konieczności oglądania się na inne, decyduje sam o sobie, z drugiej, każdy rząd, nie mając niczego narzuconego odgórnie, może nawiązywać dowolną współpracę z rządami innych państw, w różnych dziedzinach, mając na celu nie tylko partykularny, ale też wspólny dla danych narodów interes, który dzięki szeroko zakrojonej współpracy gospodarczej w ramach unii celnej i handlowej, nie mógłby godzić w interesy innych narodów, ponieważ byłoby to skrajnie nieopłacalne.

Prostym przykładem jest przewijająca się na brukselskich salonach sprawa redukcji dwutlenku węgla w atmosferze. Obecnie Wspólnota może wręcz każdemu z suwerennych państw narzucić swój sztywny limit, jaki tylko uzna za stosowny. W przypadku unii dwóch filarów, nikt nikogo by nie przymuszał. Jeżeli

przykładowo Niemcy, Francja i Wielka Brytania chciałyby pogłębić swoją współpracę międzynarodową na trzecim filarze, jakim byłoby w tym przypadku dążenie do redukcji emisji dwutlenku węgla do atmosfery, to mogłyby ten filar na mocy umowy międzynarodowej ustanowić, nie zmuszając przy tym do tego żadnej ze stron unii handlowej lub celnej. Jeżeli tylko poszczególne państwa-strony trzeciego filaru doszłyby do wniosku, że taki nowy filar może im przynieść korzyści rozwojowe, to mogą stawiać przed sobą takie zadania i cele. Pod warunkiem, że podejmują taką decyzję suwerennie i godzą się na realizację takiej a nie innej polityki wraz ze stronami umowy.

Takie dodatkowe filary, tworzone dobrowolnie przez mniejsze grupy państw, miałyby charakter bardziej demokratyczny i bardziej zjednoczeniowy niż dzisiejsze, odgórne narzucanie przez Brukselę zadań, celów i praw. Suwerenne państwa godziłyby się tylko i wyłącznie na przystępowanie do filarów dla nich najbardziej korzystnych. A to pomogłoby w budowaniu prawdziwej integracji. Realizowanie wspólnych interesów bardziej zbliżałoby do siebie poszczególne narody. W ten sposób można w pełniejszym wymiarze prowadzić politykę prorozwojową. Nikt niczego nie blokuje, nikt nie protestuje. Każdy naród jest zadowolony. Budowałoby to też otwartość. Wraz z pojawianiem się coraz to nowych małych filarów, w końcu każde z państw unii celnej i handlowej miało by inne wspólne filary z każdym z poszczególnych państw Wspólnoty, która w takim układzie pracowałaby jak system naczyń połączonych, w którym nie ma miejsca na filary wzajemnie się wykluczające. Co ważne, naczyń różnorodnych, które suwerennie podjęły decyzję o tym, co i z kim je łączy.

Demokratyczna Wspólnota Europejskich Państw Narodowych właśnie tak w moim przekonaniu powinna wyglądać. Jako system dobrowolnych umów międzynarodowych, dla których podstawą i punktem wyjścia są dwie umowy-filary: unia handlowa i unia celna.

Wspomniałem też o dążeniu państw arabsko-muzułmańskich do utworzenia światowego kalifatu. Sprawa ta, ze względu na często ogromne różnice kulturowe, jest szczególnie delikatna. Przede wszystkim, jak sama nazwa mówi, państwa arabsko-muzułmańskie są nadal silnie uzależnione od religii, która zamiast być duchową opoką, stała się narzędziem politycznym. Pod tym względem świat muzulmański wciąż tkwi – w historycznej drabinie ewolucji społeczeństw – w cywilizacyjnym średniowieczu. Oto prominentni mułłowie wzywają wyznawców do umierania w imię Boga. Brzmi to dość znajomo do tego co znamy z lekcji historii. W średniowiecznej Europie religijni przywódcy mamili społeczności, tłamsząc ich potrzeby i wstrzymując rozwój. Jednakże europejskie średniowiecze przy tym, co mogą światu zaszerwować muzulmańscy ekstremiści to błąhostka. Przede wszystkim zmieniły się okoliczności. Religijne ekstremum nie boi się korzystać ze zdobyczy ponoć zepsutej, zachodniej cywilizacji (takich jak bomba atomowa). Muzulmańscy przywódcy religijni nie tylko karmią „ciemnotą” wiernych, wypaczając zasady własnej religii, uczą też ich, iż obowiązkiem dobrego muzulmanina jest wspieranie walki na rzecz światowego kalifatu. Najlepiej poprzez terror. I to wcale nie tylko zewnętrzny, wymierzony przeciw „zgniłemu Zachodowi”. To także terror wewnętrzny, charakteryzujący się walkami i aktami terroru pomiędzy różnie interpretującymi Koran odłamami islamu.

Po raz kolejny więc idea zjednoczenia zaprzecza samej sobie. Ekstremiści muzulmańscy chcą budować kalifat, który będzie ułożony według zasad wykreowanych przez jedną opcję. W tym przypadku, rozwiązanie problemu i doprowadzenie do w pełni demokratycznej struktury suwerennych państw arabsko-muzułmańskich staje się trudniejsze. Nie ma tutaj punktu wyjścia, do którego można by wrócić. W tym przypadku, trzeba będzie utworzyć nową historię. A ona już się zaczęła. Wraz z tzw. „arabską wiosną ludów”. W tej sytuacji państwa o rozwiniętych strukturach demokratycznych powinny opracować strategię, w której podstawą będzie nie konfrontacja, a

współpraca z każdym rządem arabskim. Przy okazji należy zadać sobie pytanie co jest najbardziej istotne? Zapewne wielu opowiedziało by się za poszanowaniem dla praw człowieka, że to ono stanowi podstawę. Tylko że takie spojrzenie zakrawa na hipokryzję i istotny brak realizmu w myśleniu.

Po pierwsze, państwa arabsko-muzułmańskie muszą doświadczyć swobody politycznej i ciepłych gestów ze świata zewnętrznego. Historia wielu z nich została napiętnowana przez wojny i kolonizację – elementy historii świata islamskiego, które wytworzyły niechęć tych państw do Zachodu, równoznacznego przecież z demokracją – może nie wszędzie idealną, ale jednak demokracją. Teraz państwa demokratyczne powinny z pokorą przyznać się do błędów przeszłości i podążyć z światem islamu na ścieżkę współpracy. Nie ma nic chyba ważniejszego od ostudzenia nastrojów w tamtych rejonach.

Po drugie, idealną sytuacją byłoby dopuszczenie do zbudowania państw arabsko-muzułmańskich na wzór Arabii Saudyjskiej. Monarchia ta jest jedną z najbardziej konserwatywnych w świecie. Prawa człowieka nie mają się tam najlepiej. Ale Saudyjczycy są przynajmniej, pomimo całych ich przewin w sprawach wewnętrznych, niemal oazą spokoju. A sytuacja w tym państwie z pokolenia na pokolenie zacznie się zmieniać. Po latach restrykcyjnych rządów religijnych tamtejsza społeczność się budzi, ba, sama dynastia królewska ma co jakiś czas symptomy oświeceniowe! Z czasem w Arabii może wykształcić się model państwa demokratycznego, które zacznie również respektować prawa człowieka. Ale biorąc pod uwagę samego ducha idei praw człowieka, nie może być to narzucone! Zarówno państwo jak i dane społeczeństwo same muszą dojść do punktu decyzyjnego, w którym określą jakimi zasadami chcą się kierować. Tzw. demokratyzacja, której sztandarowym orędownikiem są Stany Zjednoczone, przyniosła dotąd więcej strat niż korzyści. Jeśli tak bardzo szanujemy wolność i chcemy ją promować, rzeczywiście ją oddajmy państwom arabsko-muzułmańskim, oddajmy w ich ręce prawo do samostanowienia. Na

siłę nie wmusimy w nich demokracji i poszanowania dla praw człowieka, oni sami muszą chcieć je przyjąć jako swoje.

Autor: [Łukasz Frontczak](#)

Nadesłano do „Wolnych Mediów”